

NASZ PROROK OPOWIADA

fragmenty kazań W. M. Branhama

Zbiór historii zawartych w niniejszej książeczce pochodzi z kazań brata Williama Marriona Branham, których tytuły, miejsca i daty wygłoszenia zamieszczone są pod danym opowiadaniem.

ZATRZYMANY SAMOLOT

Pamiętam, jak kiedyś wracałem z Dallas w Teksasie. Było to parę lat temu. Mój samolot miał awaryjne lądowanie w Memphis i linie lotnicze ulokowały mnie w słynnym hotelu Peabody. [...]

Noc przespałem dość dobrze. Kiedy rano wstałem, udałem się na pocztę, by wysłać listy, które miałem napisane. Wyszedłem z hotelu i poszedłem wzdłuż ulicy. Idąc tak, nagle usłyszałem:

– Zatrzymaj się i zawróć.

Wiecie, czasem człowiekowi coś się wydaje. Pomyślałem zatem, że pewnie mi się to przesłyszało.

Szedłem więc dalej, ale wciąż słyszałem:

– Zatrzymaj się i idź z powrotem.

Dotarłem do rogu ulicy. Stał tam mocno zbudowany irlandzki policjant. Zatrzymałem się przy witrynie sklepu i zacząłem oglądać kołowrotki i inne rzeczy. Stałem tak dość długo i chyba ten policjant zaczął podejrzewać, że chcę ukraść kołowrotek czy coś, więc odwróciłem się i poszedłem z powrotem. Wracając, przyspieszyłem kroku, minąłem swój hotel i skierowałem się w stronę rzeki. [...]

Wierzycie w Boże prowadzenie?

Szedłem dalej. Robiło się coraz później. Wiedziałem, że muszę się spieszyć, ale coś cały czas mi mówiło:

– Idź dalej, idź dalej.

Zrobiło się wreszcie tak późno, że choćbym nawet wrócił, to i tak bym nie zdążył na mój samolot. Ale wiedziałem, że muszę

iść za tym głosem. Spotkałem kiedyś zielonoświątkowców, więc teraz zacząłem sobie śpiewać tę pieśń:

*Zeszli się w górnym pokoju, wzywając Imię Jego,
a Duch Święty ochrzcił ich i dał im do usługi moc.*

[...] Śpiewałem to w kółko:

Bracie, szukaj daru Boga, co obmyje z serca grzech...

Szedłem dalej ulicą, aż dotarłem do dzielnicy ciemnoskórych. Nagle zobaczyłem kobietę, która wyglądała jak typowa, stara ciocia Jemima. Stała przed małym domkiem – a właściwie przed pobielaną chatką – i opierała się o płot. Wokół głowy miała związaną męską koszulę.

Przestałem śpiewać, ale ciągle szedłem przed siebie. Nie miałem pojęcia, dokąd idę. Ten głos powiedział mi tylko tyle, żebym szedł naprzód.

Kiedy zbliżyłem się do tej kobiety, zauważyłem na jej twarzy lekki uśmiech. Spojrzałem na nią, po czym odwróciłem głowę i poszedłem dalej.

– Dzień dobry, pastorze – zagadnęła. Na Południu, gdy mówią „pastor”, to mają na myśli kaznodzieję.

– Dzień dobry, ciociu – odpowiedziałem.

Obejrzałem się za nią i zacząłem się zastanawiać, skąd ona wie, że jestem kaznodzieją. Nie miałem przy sobie Biblii czy czegoś podobnego. Odwróciłem się więc do niej i spytałem:

– Skąd wiesz, że jestem pastorem?

– Wiedziałam, że przyjdiesz – odparła.

– Dla mnie to jednak trochę dziwne.

- A czytałeś kiedykolwiek w Biblii o Szunamitce? – spytała.
- Tak, czytałem.
- A pamiętasz, że nie mogła mieć dzieci?
- Tak, pamiętam tę historię – powiedziałem.
- Ta kobieta oczywiście obiecała Panu, że będzie wychowywać to dziecko dla Niego – mówiła dalej. – Wiesz, ja byłam jak ta kobieta. Nie mogliśmy z mężem mieć dzieci. Obiecałam Panu, że jeśli da mi dziecko, to będę je wychowywać dla Niego. I On dał mi to dziecko. Wychowywałam mojego synka najlepiej, jak mogłam, by służył Panu. Ale on wpadł w złe towarzystwo i przez to zachorował. Dostał już tyle zastrzyków... Z badania krwi wynika, że to syfilis w ostatnim stadium. Część krwi cofa mu się do serca, w którym są jakieś szpary. Dwa dni temu był tutaj lekarz i powiedział, że on już nigdy się nie obudzi, że wkrótce umrze. Nie mogę pozwolić, żeby moje dziecko umarło w takim stanie. Modliłam się przez całą noc. Mówiłam: „Panie, jeżeli chcesz go zabrać... To Ty mi go dałeś. Chciałabym usłyszeć z jego ust, że jest zbawiony, bo chcę być pewna, że znowu go spotkam”. Modliłam się i modliłam, dokładnie jak ta Szunamitka, o której wspomniałam. Potem położyłam się spać i miałam sen. Powiedziałam w nim do Pana: „To Ty dałeś mi to dziecko. Byłam jak ta Szunamitka, ale gdzie jest Twój prorok?”. A On rzekł: „Spójrz, właśnie jest w drodze”. Zobaczyłam wtedy mężczyznę idącego ulicą. Miał na sobie szary garnitur i przekrzywiony kapelusz. Śniło mi się to około godziny czwartej nad ranem. I od tamtej pory tutaj stoję.

On jest wciąż Bogiem. On działa na dwóch końcach.

- Nazywam się Branham – przedstawiłem się. – Modłę się za chorych. Czy słyszałaś o mojej usłudze?
- Nie, pastorze Branham, nigdy o tobie nie słyszałam. Może wejdiesz na chwilę? – zaproponowała.



Podszedłem więc do furtki, aby ją otworzyć. Wokół domu był stary płot, a furtka była zamykana na skobelek. [...] Podniosłem ten skobelek i wszedłem przez furtkę.

A kiedy znalazłem się w tym domu...

Byłem już w pałacach królewskich. Odwiedziłem chyba trzech czy czterech królów, w tym króla Anglii oraz króla Gustawa w Szwecji i jeszcze innych, aby się za nich modlić. Byłem chyba w kilku najbardziej ekskluzywnych domach w Hollywood. Ale nigdzie nie czułem się bardziej mile widziany niż w tym domu. Był tam stary, niczym nie ozdobiony pokój, a raczej dwa: mała kuchenka w tyle i niewielka sypialnia, gdzie stało łóżko z baldachimem. Na ścianach nie było żadnych obrazów, ale widniał tam napis: „Boże, błogosław nasz dom”.

Na łóżku zobaczyłem mocno zbudowanego, ciemnoskórego chłopca. Wyglądał na około osiemnaście lat, był potężny i dobrze rozwinięty fizycznie. W ręce ścisnął koc i jęczał.

– Co z nim jest nie tak? – zapytałem jego mamę.

– On myśli, że zgubił się na ciemnym morzu – odparła. – Ciągłe powtarza, że zgubił się na środku morza i nie może znaleźć drogi powrotnej. Wydaje mu się, że cały czas jest w łódce i wiosłuje. Dzieje się z nim tak od dwóch czy trzech dni. Nie mogę pozwolić, żeby umarł w takim stanie. Czy mógłbyś się za niego pomodlić?

– Oczywiście – powiedziałem.

Zacząłem jej świadczyć o uzdrowieniu, ale jakoś nie była tym zainteresowana. Ona chciała tylko usłyszeć, że jej syn jest zbawiony. Tylko to ją interesowało. [...]

Podeszła do niego, chwyciła go za głowę, przechyliła do tyłu i pocałowała w policzek. Potem powiedziała:

– Niech cię Bóg błogosławi, synku mamusi.

Stałem tam i przyglądałem się całej tej scenie. Pomyślałem: „Tak, to mi się podoba”. Nieważne, jaką hańbą okrył rodzinę,

nieważne, jak daleko odpadł i nieważne, w jakich problemach się znalazł, wciąż jednak jest „synkiem mamusi”. [...]

Ona go pocałowała, po czym oboje uklękliśmy na podłodze. Ja uklęknałem przy brzegu łóżka i rękami chwyciłem stopy tego chłopca. Były ciepłe i lepkie.

– Ciociu, pomódl się pierwsza – poprosiłem ją.

Przyjaciele, od razu było widać, że ona już wcześniej rozmawiała z Bogiem. Co to była za modlitwa!

– Czy ty też się pomodlisz? – zapytała, gdy skończyła.

– Oczywiście – odparłem.

Zacząłem się modlić tak: „Niebiański Ojcze, jestem co najmniej godzinę spóźniony na samolot. To Ty mi powiedziałeś, żebym szedł przed siebie. I oto jestem tutaj. Nie wiem, czy chciałeś, żebym znalazł się akurat tu, ale zatrzymałem się tutaj. Jeśli posłałeś mnie, by pomodlić się za tego chłopca...”.

I w tym momencie ten syn zawołał:

– Mamo!

– Co synuś mamusi by chciał? – spytała.

– W pokoju robi się coraz jaśniej – powiedział.

Nie minęło nawet pięć minut, a już siedział na łóżku.

Zaraz potem wyszedłem stamtąd i udałem się w drogę powrotną. Pomyślałem, że pozostaje mi jedynie wziąć taksówkę i wrócić, a później będę musiał czekać dzień, czy nawet dłużej, na następny samolot.

Przechodząc przez bramkę na lotnisku – a byłem już ponad dwie godziny spóźniony – usłyszałem: „Ostatnie wezwanie dla pasażerów lotu 67 do Louisville w Kentucky”. [...]

Modlitwa i wiara tej biednej, skromnej, niepozornej ciemnoskórej kobiety sprawiła, że samolot został zatrzymany i musiał na mnie czekać. [...]

Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że jakieś dwa lata później przejeżdżałem tamtędy pociągiem, wracając z Phoenix. [...] Zawsze staram się wyskoczyć na którejś stacji, żeby kupić kilka hamburgerów [...]. Wyskoczyłem więc z pociągu i pobiegłem w stronę budki z hamburgerami.

- Dzień dobry, pastorze Branham – usłyszałem nagle. Spojrzałem i zobaczyłem bagażowego. Stał z podniesioną głową.
- Witaj, młodzieńcze – odparłem i chciałem już iść dalej.
- Nie poznaje mnie pan, prawda? – zapytał.
- Chyba nie – przyznałem.
- Pan był kiedyś u mnie w domu. Moja mama stała wtedy na zewnątrz, a pan poklepał ją po mokrych plecach.
- Nie mów, że to ty jesteś tym chłopcem.
- Tak, to ja. I nie tylko jestem zdrowy, ale od tamtego czasu jestem zbawiony.

To jest właśnie ta historia. O, zdumiewająca łaska! To jest ten sam Bóg. [...] Ta niepozorna, skromna ciemnoskóra kobieta spowodowała, że samolot musiał mieć awaryjne lądowanie. Sprawili to jej modlitwy i wiara w Boga.

BÓG PRZYGOTOWAŁ BARANKA
Topeka, Kansas, 20.06.1964

ORLĄTKO

Pewnego razu stary farmer podłożył pod kurę jajko. Miał za mało kurzych jaj, a musiał coś podłożyć pod tę kurę, więc podłożył pod nią orle jajo, które właśnie znalazł.

Kiedy ten orzełek się wyklął, to wyglądał jak najśmieszniejszy kurczak, jakiego kiedykolwiek widziały tamtejsze kurczęta. Orzełek biegał, a kura za nim:

- Ko, ko, ko, ko!
- Nie wiem, co ten dźwięk oznacza, ale chyba będę chodził za tą kurą – stwierdził orzełek, po czym wyszedł na podwórko i zaczął grzebać w kupie gnoju.

Była tam kura, więc znowu zaczęła:

- Ko, ko, ko! To jest dobre! To jest dobre! Przyłącz się do nas.

Ale ten mały orzeł nie potrafił jeść czegoś takiego. Chodził z tymi kurczętami tylko dlatego, że nie znał nic innego. Nie wiedział, co ma robić. Ta kura tam wychodziła, brała to i tamto, a potem zmuszała tego małego orła, by to jadł. On jednak nie wiedział, jak ma się do tego zabrać. Obserwował wszystkie te kurczęta, jak one to robią, ale on był jakiś inny. Jemu to nie smakowało.

Pewnego dnia orlica, jego prawdziwa matka, odkryła, że choć zniosła dwa jajka, to teraz jednego brakuje. Zaczęła więc szukać tego drugiego. Latała dookoła, wypatrując tak, jak to czyni wielki Duch Święty.

Któregoś dnia przelatywała nad kurnikiem, tam gdzie było to orlątko. Spojrzała w dół. Zobaczyła swoje dziecko i wydała

okrzyk. To był taki dźwięk, że odbił się echem w jego wnętrzu. Och, brzmiało to naprawdę dobrze! [...]



- Synu! - zawołała orlica. - Ty nie należysz do nich! Należysz do mnie! Jesteś mój!
- Mamo, to brzmi tak prawdziwie! Co mam zrobić, żeby się stąd wydostać? - pytało orlątko.
- Po prostu podskocz, a ja cię złapię. To jest wszystko, co musisz zrobić. [...]

Mówię wam, tak jak tamten orzełek rozpoznał ten głos, tak samo naprawdę narodzony na nowo chrześcijanin rozpoznaje

Głos Boga mówiącego przez to Słowo, kiedy on widzi to Słowo namaszczone i potwierdzone. Widzicie, ten orzełek spoglądał tam w górę. Nie patrzył tutaj na tę starą kurę, która gdakała wokoło:

– Ko, ko, przyłącz się do nas. Chodź tu i idź tam. Idź tu i idź tam. Zobaczył istotę, jaką sam chciał być: latającą w przestworzach, wykrzykującą, wolną, wzbijającą się wysoko [...]. Alleluja! On chciał być takim, bo w nim było coś, aby takim być.

NIEWIDZIALNE POŁĄCZENIE OBLUBIENICY CHRYSTUSA

Shreveport, Luizjana, 25.11.1965

POSZUKIWACZ ZŁOTA I JEGO PIES

Przed wielu laty tutaj w górach było złoto. Czytałem kiedyś taką jedną historię z tamtego czasu, która bardzo utkwiała mi w pamięci. Opowiadała ona o poszukiwaczu złota, który gdzieś w tych górach znalazł wielką żyłę złota. Kiedy zdobył już to złoto, zapragnął wrócić do miasta. Rozmyślał o tym, jak się teraz będzie miał, skoro wszystkie jego kłopoty się zakończyły. Postanowił wyruszyć ze swoim złotem zaraz następnego dnia. Droga do miasta powinna była mu zająć jeden dzień. A miał tego złota pełne worki.

Był z nim też jego pies. [...]

Poszukiwacz złota leżał sobie w nocy na łóżku i rozmyślał: „Jutro zaniosę do miasta całe moje złoto, a potem będę tym, kim zawsze chciałem być, czyli bogatym człowiekiem. Zawsze przecież chciałem mieć różne fajne rzeczy”.

A tu nagle jego pies zaczął szczekać, bo wyczuł, że zbliża się nieprzyjaciel. Jednak ten człowiek wyszedł i uciszył go. Pies przestał szczekać, a mężczyzna położył się z powrotem do swego łóżka. Już właśnie zasypiał, kiedy pies znowu zaczął szczekać i szarpać się na łańcuchu. Zdenerwowany człowiek wstał i podszedł do drzwi.

– Cicho bądź! – krzyknął do psa. – Zrozum jedno: Jutro będę bogatym człowiekiem. – To było jego wielkie marzenie.

Jednak pies znowu zaczął szczekać. Temu poszukiwaczowi złota tak bardzo to przeszkadzało, że wziął swoją strzelbę,

wyszedł i zastrzelił tego psa. Pomyślał sobie: „W sumie pies już mi nie jest potrzebny, bo jutro będę bogatym człowiekiem. Jutro będę bogatym człowiekiem!”.

Potem postawił swoją strzelbę w kącie, odwrócił się plecami do drzwi i poszedł spać.



A pewien człowiek, który śledził go już od dłuższego czasu, wszedł ukradkiem do środka i pozbawił go życia.

Widzicie, ten poszukiwacz złota nie stał się w końcu bogatym człowiekiem, bo zmusił do milczenia głos ostrzeżenia, który chciał mu powiedzieć, że jego życie jest w niebezpieczeństwie.

Bracie i sioostro, nie próbujcie nigdy uciszyć tego świętego wołania w swoim sercu przez to, że przystąpicie do zboru albo wyrecytujecie wyznanie wiary, albo zapiszecie się do jakiejś organizacji. Jest tylko jedna rzecz, która może to wołanie zaspokoić. To jest osoba Jezusa Chrystusa.

PRAGNIENIE

Tucson, Arizona, 19.09.1965

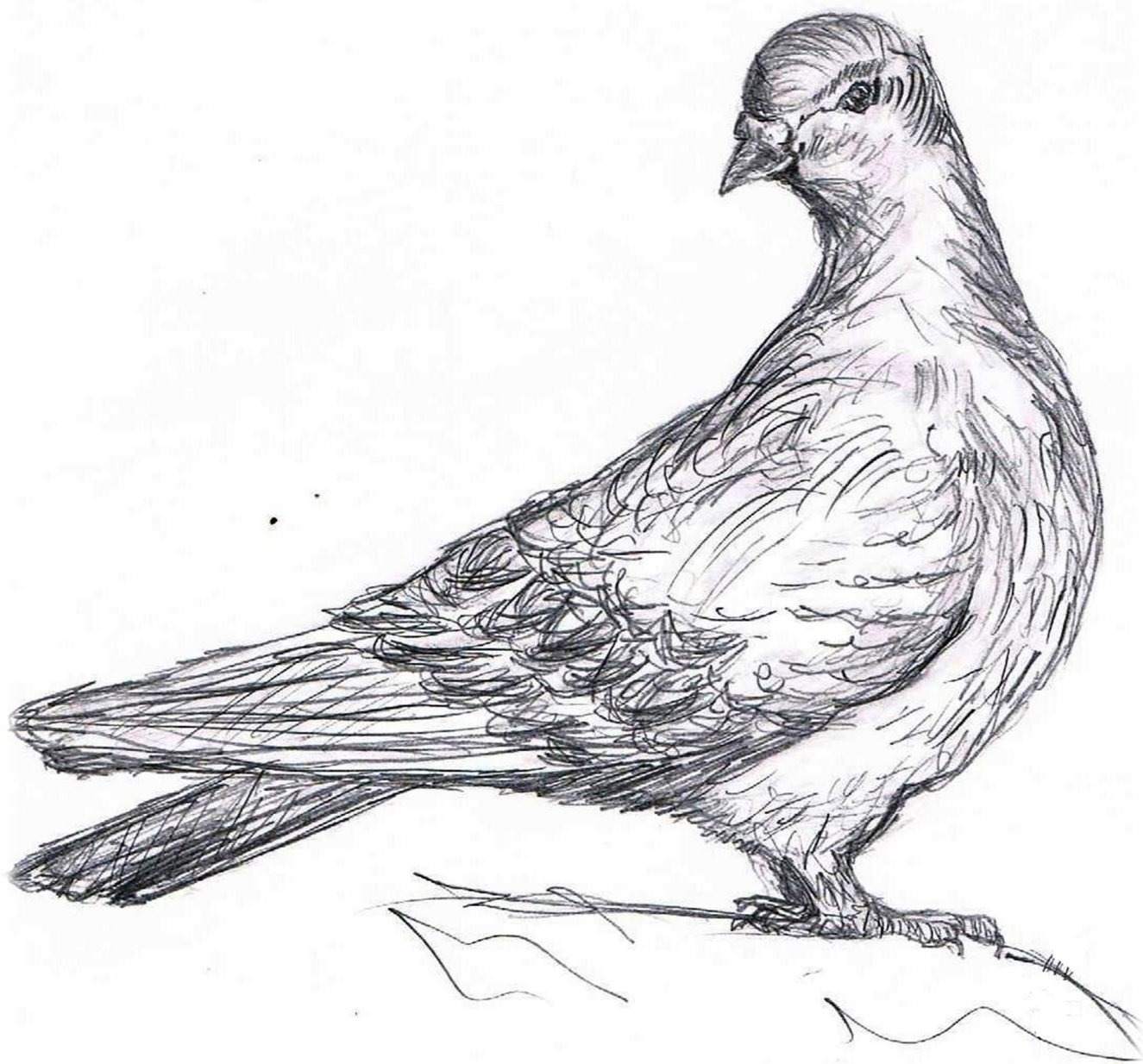
GOŁĄB NA POLU BITWY

Gołąb zawsze znajdzie drogę do domu i dlatego używa się go jako gołębia pocztowego. Używano ich często w czasie wojny. Teraz zresztą też czasem używa się gołębi pocztowych, żeby przekazać komuś wiadomość. Widzicie, gołąb to posłaniec zarówno u Boga, jak i u ludzi. Gołębica jest posłańcem. Ona była posłańcem do Noego, aby powiadomić go, że znowu nastał pokój. Bóg użył jej też, żeby potwierdzić, że to był Jego Syn, ta Ofiara, która miała przywrócić na ziemi pokój ludziom, w których On ma upodobanie. Tak więc gołębica zawsze była używana jako posłaniec.

A teraz chciałbym wam opowiedzieć o pewnym wydarzeniu, które mi się przypomina. Czytałem o tym kiedyś w jednej książce. Nie pamiętam dokładnie, jaki miała tytuł... Chyba „Schyłek I wojny światowej”, ale nie jestem pewny. [...]

Pewien oddział amerykańskich żołnierzy został przyparty do muru przez ogień z niemieckich karabinów maszynowych. I oni ukryli się w jakimś dole. [...] Byli gdzieś na patrolu zwiadowczym. Zostali przyparci tym ogniem i kończyła im się amunicja, a te wielkie niemieckie oddziały krążyły wszędzie dookoła. Ci żołnierze wiedzieli, że jeśli wkrótce nie otrzymają pomocy, jeśli nie nadejdą posiłki, to oni niebawem zginą, bo Niemcy schodzą ze wzgórza i zbliżają się wprost do ich pozycji. Jeden z tych żołnierzy przypomniał sobie, że ma przy sobie małego gołębia. Wiedział, że gdyby temu gołębiowi udało się wydostać, mógłby zanieść do dowództwa wiadomość o tym,

w jakim położeniu się znajdują. Żołnierze usiedli więc i napisali notatkę: „Jesteśmy w takim a takim miejscu. Amunicja jest na wyczerpaniu. Za kilka godzin będziemy zmuszeni się poddać, bo inaczej zostaniemy rozgromieni”. Potem przywiązali ten list do nóżki tego gołębia i wypuścili go.



A że jest to ptak miłujący dom, więc co on zrobił? Poleciał w stronę domu, aby odszukać swoją partnerkę. Ona martwiła się o niego i on powinien był do niej wrócić.

Ale kiedy wzbił się w powietrze, Niemcy zorientowali się, co się stało i zaczęli strzelać do tego gołębia. Jeden z nich trafił go kulą i złamał mu nóżkę. Inny pocisk wyrwał mu kawałek ciała z pleców. Również jego pierś została mocno zraniona. Ustrzelili mu koniec jednego skrzydełka, tak że jego lot stał się nierówny. Gołębek, chociaż z trudem, leciał jednak dalej. Wreszcie dotarł do celu. Okaleczony, wyczerpany, krwawiący, ale doleciał z tym listem do obozu. To był naprawdę niezwykły gołąb.

Lecz, bracie, w Księdze Izajasza 53 jest mowa o Kimś, kto opuścił swój Dom i wszystko, co było Mu miłe:

Lecz On zraniony jest za występki nasze, starty za winy nasze. Ukarany został dla naszego zbawienia, a Jego ranami jesteśmy uleczeni.

[...] On został zraniony, okaleczony, zbity, rozdarty, ale On znał drogę powrotu do Domu. Dlatego z krzyża Golgoty, gdzie Go kaleczyli, ranili [...]. On wzbił się do lotu i wylądował u drzwi Niebios z poselstwem: „Wykonało się! Wykonało się! Oni są wolni! Mogą być teraz uzdrowieni z chorób! Grzesznicy mogą być zbawieni! Więźniowie mogą zostać wyzwoleni!”.

NA SKRZYDŁACH ŚNIEŻNOBIAŁEJ GOŁĘBICY
Shreveport, Luizjana, 28.11.1965

WŁAŚCIWY WYBÓR

Jeden ze ślubów, jakich udzieliłem, był czymś szczególnym w moim życiu. Działo się to wiele lat temu, kiedy byłem jeszcze młodym kaznodzieją.

Mój brat pracował w administracji służb publicznych [...]. Pracował z nim pewien chłopak z Indianapolis [...]. Zwierzył się on kiedyś mojemu bratu:

- Wiesz, Doc – powiedział – gdybym miał dość pieniędzy, żeby opłacić kaznodzieję, to bym się ożenił. Niestety wystarczy mi jedynie na załatwienie dokumentów, ale nie mam pieniędzy na kaznodzieję.
- Mój brat jest kaznodzieją – odparł Doc – i on może ci udzielić ślubu. On nigdy nie bierze opłat za takie rzeczy.
- A mógłbyś go spytać, czy by mi nie udzielił ślubu? – poprosił ten kolega.

Jeszcze tego samego wieczoru mój brat mnie o to zapytał.

- Pod warunkiem – rzekłem – że on nigdy jeszcze nie był żonaty ani ona zameężna i że wszystko jest w porządku.
- Dobra, zapytam go o to – powiedział Doc.
- Jeśli wszystko jest w porządku, to powiedz mu, żeby do mnie przyszedł – zakończyłem.

[...] Było wtedy deszczowe popołudnie. Przed dom zajechał stary chevrolet; przednie światła miał przymocowane drutem. Byłem krótko po utracie żony i mieszkalem w dwóch małych pokoikach. Doc był u mnie i razem czekaliśmy na nich.

Kiedy ten chłopak wysiadł z auta, wcale nie wyglądał na pana młodego [...]. Parę porządnych butów można było kupić już za półtora dolara, ale on miał buty bardzo zniszczone, a jego spodnie były mocno ponaciągane. Miał też na sobie taką staromodną kurtkę. [...]

Z drugiej strony auta wysiadła ta młoda dziewczyna. Miała sukienkę w kratkę. [...] Razem weszli po schodach, a kiedy wchodzili, zauważyłem, że to biedactwo... Wydaje mi się, że ona miała na sobie po prostu zwykłą sukienkę i chyba nawet nie miała butów. Przyjechała z Indianapolis autostopem. Miała piękne włosy splecione z tyłu w długie warkocze. Wyglądała bardzo młodo.

- Czy jesteś już na tyle dorosła, by wyjść za mąż? – spytałem.
- Tak, proszę pana – odparła. – Mam tu na piśmie zgodę ojca i matki. Musiałam przedstawić to w sądzie, żeby otrzymać pozwolenie.
- Dobrze – powiedziałem. – Chciałbym z wami przez chwilę porozmawiać, zanim przeprowadzimy ten ślub.

Usiedli. Ten chłopak przez cały czas rozglądał się po pokoju. Przydałoby mu się pójść do fryzjera, naprawdę. Bez przerwy rozglądał się po pokoju i wcale mnie nie słuchał.

- Synu, chciałbym, żebyś posłuchał, co teraz mówię – rzekłem.
- Tak, proszę pana – odpowiedział.
- Kochasz tę dziewczynę?
- Tak, proszę pana, kocham.
- A ty kochasz jego? – zwróciłem się do niej.
- Tak, proszę pana, kocham – powiedziała.

– A masz gdzie zabrać ją po ślubie? – zapytałem znów jego.

– Oczywiście, proszę pana – odparł.

Dobrze – stwierdziłem. – Zadam ci pytanie. Bo, jak rozumiem, pracujesz tu w administracji służb publicznych, tak?

– Tak, proszę pana – przytaknął. – Za około dwanaście dolarów tygodniowo.

– I myślisz, że będziesz w stanie ją utrzymać?

– Zrobię wszystko, co będę mógł – zapewnił.

– No dobrze – powiedziałem, a potem zwróciłem się do niej – A ty, siostro, co zrobisz, kiedy on straci pracę? Co wtedy? Uciekniesz do domu, do mamy i taty?

– Nie, proszę pana. Zostanę z nim.

– A co, mój drogi – mówiłem znów do niego – jeśli będziecie mieć troje albo czworo dzieci i nie będziecie mieć ich czym żywić, a ty nie znajdziesz żadnej pracy? Co wtedy zrobisz? Odeślesz ją?

– Nie, proszę pana. Będę walczył dalej. Jakoś damy sobie radę.

Poczułem się zażenowany. Widziałem, że on ją naprawdę kocha, że oni się kochają. Więc zaślubiłem ich.

Potem byłem ciekawy, gdzie on z nią zamieszkał i spytałem mojego brata Doca, gdzie to jest. On powiedział, że w New Albany. To jest nieduże miasto na południe od nas.

Mieszkali nad rzeką, w miejscu, gdzie było składowisko starej blachy. Pracowałem kiedyś jako monter linii elektrycznych i wtedy bywałem tam każdego dnia. Kiedy w czasie przerwy koledzy siedzieli i opowiadali dowcipy, wtedy ja wsadałem do

samochodu i jechałem nad rzekę, by się modlić. Czytałem tam też Biblię, siedząc pod wielkim kawałkiem blachy.

Kiedyś była tam huta i zostało po niej kilka starych wagonów towarowych. I ten chłopak tam poszedł, zajął jeden z tych wagonów i wyciął w nim drzwi. [...] Potem poszedł do tej huty i przyniósł jakieś żelastwo, z którego zrobił schodek. Znalazł też jakieś stare skrzynki i zrobił z tego stół.

Pewnego dnia pomyślałem, że pójdę tam i zobaczę, jak oni sobie radzą...

Jakieś sześć miesięcy wcześniej udzieliłem ślubu córce E. V. Knighta i synowi E. T. Slidera. Ten E. V. Knight to jest jeden z najbogatszych ludzi, jacy mieszkają tu nad rzeką Ohio. Jest właścicielem całego szeregu wielkich fabryk [...]. Z kolei E. T. Slider jest właścicielem piaskowni i żwirowni. Były to więc dzieci milionerów. I ja udzielałem im ślubu.

Chodziłem tam i przez około dwa tygodnie ćwiczyłem wchodzenie do sali i klękanie na poduszce. Cała ta pompa... Nigdy nie przeszedłem tyle, co przy zaślubinach tej pary! [...]

Tamta poprzednia para przyszła i po prostu stanęła w naszym małym pokoju, gdzie mieliśmy wersalkę i składane łóżko. Jednak zaślubiny obu tych par były tak samo ważne.

Pewnego dnia pomyślałem, że odwiedzę tę bogatą parę. Oni nie musieli pracować. Ich ojcowie byli milionerami i zbudowali im piękny dom. I powiem wam, że tu na wzgórzu, w pałacu E. V. Knighta, gałki u drzwi są z 14-karatowego złota. Możecie więc sobie wyobrazić, w jakim domu oni mieszkali. Nie musieli pracować. Co roku dostawali nowego cadillaca. Byli jedynakami i mieli wszystko, co chcieli. [...]



A więc wybrałem się do nich. Wysiadłem ze swojego starego forda, wszedłem po schodach. Podszedłem trochę za blisko i usłyszałem, jak strasznie się kłócą. Byli o siebie nawzajem zazdrośni. Wrócili z jakiejś zabawy tanecznej. Ona była śliczną dziewczyną, jedną z tych królowych piękności. Zdobyła wiele nagród; wygrała jakieś samochody i tak dalej. Była bowiem królową piękności. Obserwowałem ich. Jedno z nich siedziało w jednym kącie, a drugie w drugim. Kłócili się o jakiegoś chłopaka, z którym ona tańczyła, czy o jakąś dziewczynę albo coś takiego. Ale kiedy tam podszedłem, wyskoczyli szybko, chwycili się za ręce i podeszli do drzwi.

– O, brat Branham. Witamy! Jak się masz? – powiedzieli.

– Dziękuję, dobrze. A co u Was?

– Ach – powiedział ten chłopak – jesteśmy bardzo szczęśliwi. Prawda, kochanie? – zwrócił się do swojej żony.

– Tak jest, mój drogi – potwierdziła ona [...].

Zatem tak to było z nimi. Widzicie? Ja bym nie chciał tak żyć.

Postanowiłem, że teraz pójdę tam, gdzie pod tym zboczem, nad rzeką zamieszkała ta druga para.

W którąś sobotę po południu chciałem się do nich wybrać i zobaczyć, jak się mają. Miałem akurat brudną twarz, byłem w roboczym ubraniu i trzymałem torbę z narzędziami. Ale pomyślałem sobie, że zakradnę się tam. Podszedłem cichaczem i udawałem, że sprawdzam linię telefoniczną [...]. Ich stary chevrolet stał przed wejściem. Było to mniej więcej rok po ich ślubie.



Drzwi były otwarte, więc słyszałem, jak rozmawiają. Może było to niegrzeczne, ale podszedłem na tyle blisko, żeby ich słyszeć i dowiedzieć się, o czym mówią. Stałem tam. Chciałem to wiedzieć sam dla siebie [...].

A więc chciałem się przekonać, jak oni sobie radzą. Zakradłem się z boku, bez najmniejszego problemu. Usłyszałem, jak on mówi:

- Och, kochanie, tak bardzo chciałbym ci ją kupić.
- Najdroższy, ale popatrz – powiedziała ona – moja sukienka jest w porządku. Jest jeszcze całkiem dobra. Doceniam to, co chcesz zrobić, ale widzisz...

Podszedłem jeszcze bliżej, aby móc zajrzeć do środka przez uchylone drzwi tego wagonu. On tam siedział i trzymał ją na kolanach. Obejmował ją ramieniem, a ona obejmowała jego. On trzymał taki stary kapelusz z jedną połową ronda zagiętą w dół i wsypał do niego swoją wypłatę. Postawił go na stole.

- Tyle na jedzenie – liczył – tyle na ubezpieczenie, tyle na auto. Nie mogli związać końca z końcem. Z ich rozmowy wynikało, że on widział w witrynie sklepowej jakąś sukienkę (oglądał ją tam od wielu tygodni), która kosztowała nieco ponad dolara. Chciał ją dla niej kupić.

- Kochanie, tak ładnie byś w niej wyglądała – mówił do niej.
- Ależ, kochanie, ja mam sukienkę – tłumaczyła. – Naprawdę, nie potrzebuję nowej.

Widzicie? Ta mała królowa... Cofnąłem się w myślach i przypomniały mi się wieżyczki na tym poprzednim domu. Stałem tam jeszcze kilka minut i patrzyłem.

Zacząłem się zastanawiać: „I kto tu jest bogaty? Gdybyś, Billu Branhamie, miał wybrać, to do którego z tych domów chciałbyś pójść?”. Jeśli o mnie chodzi, nie wybrałbym tej ślicznotki ze wzgórza, tylko charakter tej drugiej kobiety, która naprawdę potrafi stworzyć prawdziwy dom, charakter kobiety, która by mnie kochała i stała za mną, i starałaby się stworzyć dom bez wysysania ze mnie wszystkiego na nowe ubrania, która by przy mnie stała i była ze mną jedno.

Zawsze mnie zastanawiało, jak to jest. Jeden wybrał piękną dziewczynę, a ten drugi wybrał charakter. Stoisz właśnie przed takim wyborem. Najpierw szukaj charakteru, a potem rozważ, czy ją kochasz.

WYBÓR OBLUBIENICY

Los Angeles, Kalifornia, 29.04.1965

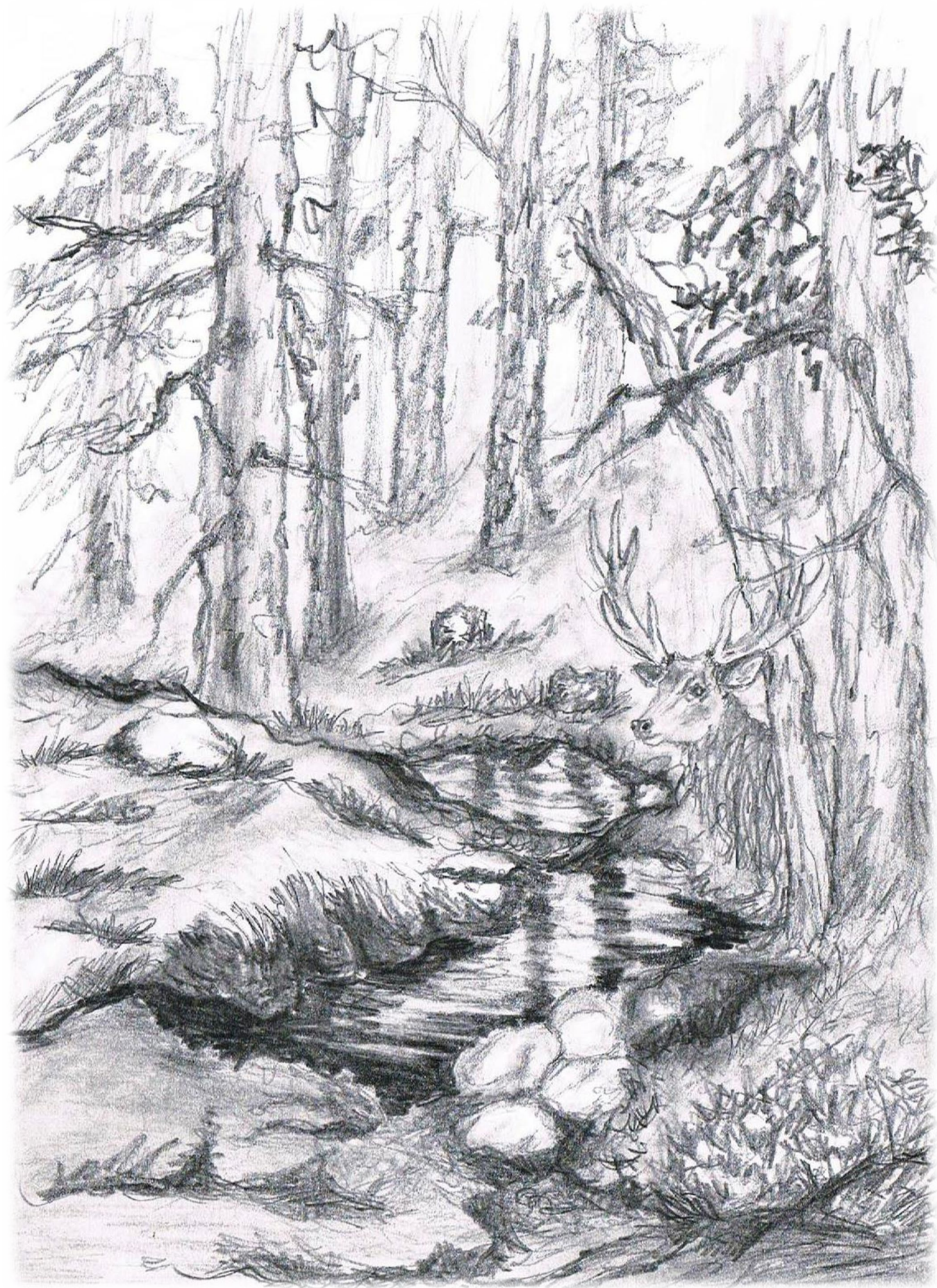
SZCZĘŚLIWE ŹRÓDEŁKO

Pamiętam, jak byłem kiedyś strażnikiem leśnym w Indianie. Często się zdarzało, że przechodziłem koło pewnego źródła. Ono zawsze tak bulgotało... I ono, och, wyglądało jak coś najszczęśliwszego na świecie! Bez względu na to, czy ziemia była pokryta śniegiem, czy lodem, czy był mróz... I nieważne, jak zimno było. Ono zawsze bulgotało, podczas gdy te stare, zrobione przez człowieka sadzawki i zbiorniki z żabami i całą resztą, były zupełnie zamarznięte. [...]

No więc ono tak sobie bulgotało.

Pewnego dnia usiadłem tam i pomyślałem, że może przez chwilę porozmawiam z tym źródłem. Zdjąłem więc kapelusz z głowy i zapytałem je:

- Źródło, jak to się dzieje, że jesteś takie szczęśliwe? Dlaczego cały czas tak bulgoczesz? Może to dlatego, że raz na jakiś czas piją z ciebie sarenki?
- Nie, to nie dlatego - odpowiedziałoby, gdyby tylko mogło mówić.
- A może to przez to, że ja z ciebie piję?
- Nie, to nie o to chodzi.
- No więc, co sprawia - pytałem dalej - że jesteś takie czyste i nieskażone? Co sprawia, że tak przez cały czas bulgoczesz pełne radości i nic nie jest w stanie sprawić, żebyś zamarzło? Wytryskujesz prosto do góry, a przecież nie ma w tobie nic poza czystą wodą.



Wiecie, co by mi ono odpowiedziało, gdyby tylko mogło mówić?
– Bracie Branham – ono by rzekło – to nie ja to robię. Jest siła niezależna ode mnie, która sprawia, że bulgoczę.

I tak to się właśnie dzieje. [...] Tak to jest, kiedy narodzisz się na nowo. Nie jesteś w stanie nad tym zapanować. To jest jak źródło wody w twoim wnętrzu, które bulgocze Życiem wiecznym. Widzisz, tam jest coś, co jest całkowicie nie z ciebie. [...] Tam znajduje się coś, co jest świeże każdego dnia, czyste i nieskażone. [...] Nieważne, czy pada deszcz, czy pada śnieg, czy jakakolwiek jest pogoda, ty jesteś ciągle szczęśliwy, ponieważ Duch Święty w tobie bulgocze.

ZEPSUTE CYSTERNY

Phoenix, Arizona, 23.01.1965

JASIU WRONA

Kiedys pewien rolnik zasiał na swoim polu kukurydzę. Ale ciągle przylatywały tam wrony i wyjadały mu to ziarno. Pomyślał więc, że zrobi pułapkę.



Złapał jedną wronę i aby dać nauczkę pozostałym ptakom, przywiązał tę wronę za nogę do płotu. Tak właśnie zrobił. Ten biedny ptak chodził, kuśtykał, próbował podskakiwać, jednak nie mógł się wyrwać, bo był przywiązany. Wyjadł już wszystko w zasięgu swojego dzioba i zaczął głodować, umierać z głodu. Był tak słaby, że już prawie nie potrafił fruwać ani podskakiwać.

Inne wrony przylatywały tam i wołały:

- Chodź z nami, Jasiu Wrono! Lećmy na południe, bo idzie zima! Jeśli tu zostaniesz, to zginiesz. Lećmy, Jasiu Wrono!
- Nie mogę. Jestem przywiązany – mówił.

Pewnego dnia przyszedł tam jakiś dobry człowiek i zobaczył tego biednego, starego Jasia Wronę, który chodził w kółko i kuśtykał. Widział, że ten ptak był już bardzo słaby, więc go złapał, chwilkę pogłaskał, a potem rozwiązał sznurek, którym był przywiązany, i wypuścił go.

- W porządku, wrono, możesz lecieć – powiedział na koniec do Jasia Wrony.

Ale kiedy ten człowiek odszedł, Jasiu Wrona dalej chodził w kółko, w tym samym kole. Rozumiecie? On był już odwiązany, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.

Przyleciały znów te inne wrony i zaczęły wołać:

- Chodź z nami, Jasiu Wrono! Lećmy na południe, bo idzie zima!
- Ja nie mogę. Jestem przecież przywiązany – mówił dalej Jasiu Wrona.

Tak właśnie ma się sprawa z ludźmi, którzy nie znają swojej pozycji w Jezusie Chrystusie.

Kiedyś byłem związany łańcuchem grzechu, ale dziś zostałem wyzwolony przez Jezusa Chrystusa.

Nasz sąd wziął na siebie Chrystus, niewinny za winnych. On stał się grzechem, abyśmy my mogli nie być grzesznikami. Poniósł nasze choroby, abyśmy nie musieli ich nieść. Poniósł nasze zmartwienia, abyśmy nie musieli ich już nosić „jak inni, którzy nadziei nie mają”, jak to mówi Biblia.

WIELKI SŁUGA MOJŻESZ
Chicago, Illinois, 22.01.1955

ZGUBIONY W GÓRACH

Pamiętam, jak kiedyś zgubiłem się w górach. Myślałem sobie wtedy, że jestem zbyt dobrym traperem, bym mógł się zgubić. Ale ja się naprawdę zgubiłem. Była tam ze mną moja żona oraz Billy Paul, który był wtedy jeszcze niemowlęciem.

Poszedłem polować na niedźwiedzia. [...] Jednak zamiast niego napotkałem dużego jelenia. Zastrzeliłem go i pomyślałem, że już czas wracać. [...] Zacząłem wspinać się na górę, kiedy nagle coś przeszło zaraz przede mną. Była to puma. Podniosła uszy, ale zanim zdążyłem wyciągnąć strzelbę, już jej nie było.

Tymczasem moja żona Meda nigdy wcześniej nie była w takim lesie, rozumiecie. To była nasza podróż poślubna. Długo na nią oszczędzałem. Kiedy się ożeniłem, to wiecie, zabrałem żonę w podróż poślubną, a jednocześnie siebie na polowanie.

Zacząłem rozmyślać: „Ciekawe, którędy szedłem?”. Wspinałem się, schodziłem w dół, doszedłem do półki skalnej i przeszedłem przez mały wąwóz. Wiedziałem, że gdzieś od strony granicy z Kanadą widziałem taką wielką ścianę skalną, ale teraz nie miałem pojęcia, gdzie się ona podziiała.

Nagle nadeszła burza... Wiecie, burze śnieżne przychodzą niespodziewanie.

Mgła zeszła tak nisko, że nie widziałem nawet ręki przed sobą. W takich warunkach, jeśli nie wiesz, gdzie jesteś, to lepiej zostań w jednym miejscu, bo inaczej zginiesz. Widzisz, musisz znaleźć sobie miejsce, najlepiej jakąś dziurę, poszukać coś

do jedzenia i poczekać dzień czy dwa, aż burza się uspokoi. I dopiero, kiedy stamtąd wyjdiesz, możesz się zastanawiać, gdzie jesteś.

Ale ja nie mogłem czekać. Meda była tam w lesie, i to pierwszy raz w życiu. Została w takiej małej chatce, w której nie było nawet drzwi. Właściwie był to zwykły szałas. A ja znalazłem się w takiej sytuacji. Ojej. Zacząłem chodzić w kółko. Pomyślałem: „Wydaje mi się, że gdzieś tutaj skręcałem”. Szedłem dalej i wróciłem do miejsca, gdzie zastrzeliłem mojego jelenia. Wyruszyłem jeszcze raz, mówiąc do siebie: „Muszę się stąd wydostać. Moja żona i dziecko umrą w tym lesie”.

Zaczęło się robić zimno. Była bardzo gęsta mgła i za chwilę miało zacząć padać. Spróbowałem iść jeszcze raz, ale znowu wróciłem do mojego jelenia. Próbowałem tak trzy razy.

Wtedy zacząłem rozumieć, co się stało. [...] Indianie nazywają to spacerem śmierci. Jesteś na płaskim terenie, ale cały czas chodzisz w kółko. Wiesz, gdybyś miał kompas, to co innego. Ale tak, to ciągle chodzisz w kółko. [...]

Pamiętam, że powiedziałem sobie: „Idę przed siebie”. Zacząłem już bredzić. Pomyślałem: „Usiądź tutaj. Nie bądź niemądry. No przecież się nie zgubiłeś. Oczywiście, że się nie zgubiłeś”. Zacząłem to sobie powtarzać, ale jakoś nie pomagało. Wiecie, nie można udawać, że czegoś nie ma, kiedy to jest.

Mówiłem do siebie: „Nie zgubiłem się. Dokładnie wiem, gdzie teraz jestem. Naprawdę. Przecież szedłem tędy. Dokładnie tak”. Wiecie, szedłem naprzód i tak sobie powtarzałem, ale pociłem się jak nie wiem co. Gdybym tam był sam, to poszukałbym jakiegoś miejsca i przeczekałbym tę burzę. Może czekałbym

dzień czy dwa, ale wszystko byłoby w porządku. Zjadłbym trochę mojego jelenia i wszystko byłoby dobrze. Rozumiecie? Ale nie mogłem tak zrobić, bo moja żona była tam w lesie. Była tam z moim synkiem. Oni umarliby jeszcze tej samej nocy, bo nie wiedzieliby, jak sobie poradzić w lesie. I kiedy tak szedłem przed siebie, usłyszałem Głos: „Ja jestem Pan, najpewniejsza pomoc w utrapieniach”.



Szedłem dalej. Pomyślałem, że pewnie odchodzę od zmysłów i zaczynam słyszeć głosy. [...] Ale znowu usłyszałem: „Ja jestem Pan, najpewniejsza pomoc w utrapieniach”.

Ten Głos powtórzył to trzy czy cztery razy.

Stałem i pomyślałem, że albo straciłem zmysły, albo Wszechmogący Bóg zlitował się nade mną. Uklęknąłem, odłożyłem

strzelbę i zacząłem się modlić: „Boże, przyznaję, że się zgubiłem. [...] Myślałem, że jestem zbyt dobrym traperem, żebym mógł się zgubić. Ale ja teraz zupełnie nie wiem, gdzie jestem. [...] Nigdy nie znajdę drogi wyjścia stąd. Panie, ja nie zasługuję na to, żeby żyć. Ale moja żona i dziecko tak. Pomóż mi do nich wrócić, żeby nie zginęli w tym lesie. Ja nie zasługuję, żeby żyć, ale oni tak. Jeśli mi pomożesz, będę Ci tak bardzo wdzięczny”. Wstałem z kolan i powiedziałem: „Odwrócę się w tym kierunku i wiem, że jeśli pójde przed siebie, to dojdę do miejsca, gdzie zostawiłem Medę”. [...]

Poszedłem przed siebie i nagle coś dotknęło mojej dłoni. „Kto to?” Spojrzałem do góry, a potem za siebie. Mgła trochę się przerzedziła i zobaczyłem szczyt góry Hurricane. Nasz obóz znajdował się właśnie pod górą Hurricane.

Stałem tam i płakałem jak niemowlę. Wiecie, chwaliłem Boga za to, że mi pomógł. Później ruszyłem w tamtą stronę. Wokół mnie zrobiło się ciemno. Tuż przede mną przebiegały jelenie i inne zwierzęta. Było ciemno. Znałem miejscowego leśniczego i wiedziałem, że koło leśniczówki jest przybudówka, ale była ona zamknięta. Od tego miejsca było mniej więcej czterdzieści kilometrów do najbliższego domu w dolinie. Rozumiecie? Ja byłem na górze, blisko leśniczówki, a na samym szczycie była wieża. Wiedziałem, że jestem gdzieś w okolicach szczytu. Ale miałem problem, bo trasa dookoła to wiele kilometrów – żeby obejść górę dookoła, musiałbym przejść jakieś pięćdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów. „Gdybym tylko mógł natrafić na kabel, który biegnie tam w dół” – pomyślałem. Kiedyś razem z leśniczym montowaliśmy ten kabel telefoniczny, żeby można było dzwonić. Przyczepiliśmy go do drzew i on szedł w dół aż

do jego biura. W ten sposób można było się komunikować między tą wieżą i jego biurem.

[...] Było już zupełnie ciemno i nic nie widziałem.. Wystarczyło trzydzieści czy czterdzieści minut, żeby zrobiło się tam całkiem ciemno. A była dopiero godzina druga czy trzecia po południu. Trzymałem rękę podniesioną do góry i szedłem przed siebie. W jednej ręce miałem strzelbę. Pamiętałem, że kiedy instalowaliśmy ten kabel, to nie był on zawieszony aż tak wysoko.

Pomyślałem sobie: „Gdybym tylko natrafił na ten kabel”. [...] Tak długo trzymałem rękę w górze, że zaczęła mnie boleć. Przełożyłem strzelbę do drugiej ręki i zrobiłem kilka kroków do tyłu, żeby przypadkiem nie ominąć jakiegoś miejsca.

Zapadła gęsta ciemność. Szedłem już chyba godzinę w tej ciemności, aż nagle dłonią wyczułem ten kabel. Czułem go! Skłoniłem swoją głowę i zacząłem płakać. Pomyślałem: „Panie, na końcu tej linii telefonicznej czeka moja żona z dzieckiem”. Stałem tam ze skłonioną głową i dziękowałem Mu za to.

Pomyślałem: „Tak, Panie. Teraz włożyłem swoją dłoń w Twoją. To też jest linia. A na końcu tej linii, którą mam w swoim sercu, jest wszystko, co kocham – moi bliscy i mój Pan i Zbawiciel. Wszystko, co jest dla mnie drogie, jest na końcu tej linii”. Ani na chwilę nie puszczałem tego kabla. I tak zszedłem z tej góry, trzymając ten kabel.

Był tam też taki zarośnięty szlak, ale wolałem mu nie ufać. Trzymałem się tej linii telefonicznej. Kiedy napotykałem drzewo, omijałem je i znowu chwytalem kabel, i schodziłem do kolejnego drzewa. Trzeba przejść jakieś pięć kilometrów, żeby zejść z tej góry. W końcu zszedłem. Wiecie, Meda była przestra-

szona na śmierć i prawie popadła w histerię. A więc tak to właśnie było.

Wiecie, nie sposób opisać tego uczucia, gdy się człowiek zgubi. Mówię teraz o tym, kiedy straci się drogę w lesie. A co, jeśli człowiek jest zgubiony i z dala od Boga? To jest okropne.

TWÓJ DOM

Tifton, Georgia, 08.08.1961

NIEDŹWIADEK I MIÓD

Łowiłem kiedyś ryby, tam wysoko w górach, gdzie może dojść tylko doświadczony traper. Wiecie, daleko w dziczy. I rozbiłem tam sobie mały namiot.

Pewnego dnia wczesnym rankiem szedłem wzdłuż zarośli z małą siekierką w ręce. Wycinałem trochę krzaki, żebym się mógł należycie zamachnąć wędką z muszką, gdy będę łowił pstrągi.

Okolo ósmej godziny postanowiłem wrócić do namiotu. Słońce było już dosyć wysoko. I kiedy tam dotarłem, mój namiot leżał zburzony na ziemi. Przy nim stała stara niedźwiedzica z dwoma małymi niedźwiadkami. One wdarły się do namiotu i całkiem go zniszczyły. To znaczy był rozerwany na pół.

Gdzieś tam w tym namiocie miałem moją starą poobijaną, zardzewiałą strzelbę...

Wiecie, niedźwiedź... Nie chodzi o to, że on coś powyjada, ale on po prostu wszystko niszczy. A ten niedźwiedź właśnie przewrócił na ziemię rurę od mojego piecyka gazowego, po czym wskoczył na nią tylko po to, by posłuchać sobie chrzęstu jej miażdżenia. Wiecie, to jest po prostu wyjątkowo złośliwy jegomość.

Kiedy zbliżyłem się do namiotu, ta stara niedźwiedzica zaraz się zorientowała, że ja tam jestem. Zaczęła się więc wycofywać. Oddalała się i nawoływała przy tym swoje niedźwiadki. Jeden malec za nią pobiegł, ale ten drugi niedźwiadek nie chciał.

Siedział tam sobie po prostu, odwrócony do mnie plecami. Pomyślałem: „Co jest z tym niedźwiadkiem? Dlaczego on nie ucieka?”. A niedźwiedzica ciągle nawoływała go z zarośli, była już bowiem gdzieś na zboczu wzgórza.

Zastanawiałem się, czy uda jej się przywołać tego malucha. Jednak on najwyraźniej nie chciał stamtąd odejść. Wiecie, po prostu siedział sobie tam z pochyloną główką. Rozmyślałem: „Hmm, co też tam porabia ten mały niedźwiadek?”.

Zbliżałem się do niego powoli. Nie chciałem podejść zbyt blisko, bo ta niedźwiedzica mama mogłaby mnie podrapać. Obserwowałem ją. Stojąc na tylnych łapach, nawoływała tego małego niedźwiadka.

Nie chciałem zastrzelić tej starej niedźwiedzicy, żeby nie zostawić w lesie dwóch sierotek. Więc ciągle ją obserwowałem. W razie czego tuż obok mnie było drzewo... To prawda, ale przecież niedźwiedź potrafi się na nie wdrapać lepiej niż ja, więc... Wiedziałem tylko, że muszę coś zrobić. Zastanawiałem się, co tam wyczynia ten niedźwiadek. Poszedłem więc na drugą stronę mojego obozu, tak abym się mógł popatrzeć na niego z boku. I... Ojejku!

Kto z was lubi naleśniki z miodem? Ach, mówię wam, to jest po prostu coś pysznego. Upiec za bardzo ich nie umiem, ale za to bardzo lubię je jeść. [...] Tak więc miałem w namiocie wiaderko miodu, a zazwyczaj biorę ze sobą dość duże wiaderko. Bo wiecie, ja nie wierzę w pokrapianie naleśników; ja je porządnie chrzczę; wylewam na nie dużą ilość miodu. [...]

A ten mały niedźwiadek dobrał się właśnie do tego wiaderka. Wiecie, niedźwiadki lubią słodkości. On zdjął wieczko z tego

wiaderka i siedział tam sobie, przytulając je do siebie. Sięgał do niego swoją małą łapką, nabierał miód i lizał go ot tak. Był umazany tym miodem od czubka głowy aż do tylnych łapek.



Chciał na mnie popatrzeć, ale jego małe oczka były całe pozlepiane, wiecie. Spróbował mimo to je otworzyć i popatrzeć się na mnie ot tak. Pomyślałem sobie: „O rety!”. Zerknął na mnie beztrosko, jakby chciał powiedzieć:

– Hmm, chcesz trochę polizać?

Potem znowu wetknął swoją łapkę do wiaderka i zaczął ją maczać w miodzie. [...]

Niesamowite było to, że gdy w końcu ten niedźwiadek puścił to wiaderko na ziemię – bo było już wylizane do czysta – i poszedł do swojej mamy i swojego braciszka, to teraz oni oblizywali tego niedźwiadka, aby go oczyścić z miodu.

Ja mam po prostu nadzieję, że my mamy tak dużo tego duchowego miodu, że każdy chce go polizać, że inni pragną cieszyć się z naszych błogosławieństw od Pana. My miłujemy te staromodne nabożeństwa, takie pełne radości [...]. Lecz musisz naprawdę uporządkować swoje życie, abyś naprawdę mógł się tym cieszyć. Wiesz, musisz wejść na właściwą drogę.

PIECZĘĆ CHRYSTUSOWA

Los Angeles, Kalifornia, 12.03.1955

SZCZĘŚLIWIE URATOWANY

Pewnego poranka jeden mały chłopiec wziął swój rower i pojechał do zboru na niedzielne nabożeństwo. Inny chłopak z sąsiedztwa nie był zainteresowany tym, by pójść na zgromadzenie, więc wziął swoją dziewczynę i poszli razem na łyżwy. Był już z niego duży mężczyzna i kiedy wjechał na cienki lód, wpadł do wody.

A jeszcze tego samego dnia rano, gdy szedł ze swoją dziewczyną i zobaczył tamtego chłopczyka, wyśmiewał się z niego.

– Ci ludzie to fanatycy. Oni chodzą tam do zboru – powiedział wtedy do niej.

A teraz wpadł do tej przerębli w wodzie. Jego dziewczyna była daleko. Była lżejsza od niego i dlatego udało jej się wydostać z tego lodowiska.

W końcu wypłynął na powierzchnię, położył ręce na lodzie, ale był cały zdrętwiały i zawisł na krawędzi lodu. Ta dziewczyna próbowała dosięgnąć do niego ręką, jednak była zbyt ciężka i lód się pod nią łamał.

– Zawracaj! Zawracaj, bo sama wpadniesz do wody i oboje utoniemy! – krzyczał do niej ten chłopak.

Krzyczał i wołał, ale nie było nikogo, kto by mu mógł pomóc.

Po chwili jednak na wzgórzu pojawił się mały rower. To był tamten mały chłopiec; pedałowiał z Biblią pod pachą. I kiedy usłyszał te krzyki, przyśpieszył. Podjechał, zeskoczył z roweru, położył obok swoją Biblię i wbiegł na lodowisko. Pełzł po tym

lodzie na swoim małym brzuszku, ubrany odświętnie, aż dotarł do tego tonącego chłopaka. Chwycił go za ręce i ciągnął tak długo, aż wyciągnął go spod tego lodu. Później wybiegł na drogę i zatrzymał samochód. Zadzwonili po karetkę, która odwiozła tego chłopaka do szpitala.



Kiedy już wyszedł ze szpitala, zapłacił za karetkę pogotowia, zapłacił lekarzom za zastrzyki przeciwko zapaleniu płuc i za lekarstwa, które mu podawali.

Potem poszedł do tego małego chłopca.

– Ile ci jestem dłużny? – zapytał.

– Nic – odparł chłopczyk.

– Ależ, ja zawdzięczam ci moje życie!

Pomyślcie o tym. Nie można było za to zapłacić żadnymi pieniędzmi, bo chodziło o jego życie. [...]

Jedyna rzecz, która potrafi nas zaspokoić, jedyne rzeczywiste rzeczy, które istnieją, jedyne dobre rzeczy, które istnieją – one nie mogą być kupione za pieniądze. Są to dary od Boga, one są za darmo – zbawienie duszy, radość... I my je mamy w Jezusie Chrystusie.

BEZ PIENIĘDZY CZYLI BEZ PŁACENIA

Jeffersonville, Indiana, 02.08.1959

SPIIS TREŚCI

ZATRZYMANY SAMOŁOT	3
ORLĄTKO	10
POSZUKIWACZ ZŁOTA I JEGO PIES	13
GOŁĄB NA POLU BITWY	16
WŁAŚCIWY WYBÓR	19
SZCZĘŚLIWE ŹRÓDEŁKO	27
JASIU WRONA	30
ZGUBIONY W GÓRACH	33
NIEDŹWIADEK I MIÓD	39
SZCZĘŚLIWIE URATOWANY	43

WYDAWCA:
Beskidzkie Stowarzyszenie Biblijne
ul. Stalmacha 21
43-440 Bażanowice k. Cieszyna
tel.: 692 479 390
Internet: www.goszen.pl

Wszelkie zamówienia należy kierować na adres wydawcy.

NIE NA SPRZEDAŻ